

WYLECZENI

Alicja Horn

WYLECZENI



Copyright © by Alicja Horn, 2026
Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo
Wydanie II poprawione
Warszawa 2026
All rights reserved

ISBN 978-83-983706-0-8

ROZDZIAŁ 1

W Warszawskim Szpitalu Klinicznym im. Wandy Błęńskiej straszło. Przedmioty zmieniały położenie, szafki same się otwierały, a opowieści o tym, co działo się nocami w podziemnym łączniku między budynkami oddziałów, mroziły słuchaczom krew w żyłach. W zasadzie nikogo to nie dziwiło – miejsca z taką przeszłością często bywają nawiedzone, a historia szpitala dostarczała aż nadto powodów do snucia takich opowieści. Wybudowany w dziewiętnastym wieku podczas epidemii cholery szpital służył początkowo jako izolatorium, w którym chorzy mieli dojść do zdrowia lub odejść na zawsze. Jednak ku zaskoczeniu wszystkich zaczął rozrastać się o kolejne oddziały, i to nie tylko zakaźne. Solidna i praktyczna budowla szybko stała się dumą mieszkańców stolicy.

Na swoje nieszczęście lata później szpital przykuł również uwagę Niemców. W 1942 roku ulokowali tu jednostkę odpowiedzialną za deportacje Warszawiaków. Później w piwnicach urządzili więzienie dla powstańców, których regularnie rozstrzeliwano w szpitalnym ogrodzie, między lipami i krzewami derenia.

Kolejne dekady nie okazały się dla szpitala łaskawsze. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, podczas rozbudowy oddziału kardiologicznego, w podziemiach budynku natrafiono na stary magazyn, gdzie w zapomnieniu leżało sześć ton pozostawionego przez Niemców trotylu. Komunistyczne władze nie zgodziły się na ewakuację pacjentów – z niewiadomych przyczyn akcję usuwania materiałów wybuchowych postanowiono przeprowadzić po cichu, nocą. Trwała prawie dwa tygodnie. I niewiele brakowało, by zakończyła się sukcesem.

Wybuch nastąpił niespodziewanie, kiedy usuwano ostatnie partie trotylu. Zginęli prawie wszyscy pacjenci i część personelu budynku, pod którym mieścił się magazyn, a także wiele osób przebywających w sąsiednich pawilonach.

Dziś Warszawski Szpital Kliniczny im. Wandy Błęńskiej jest najlepszym szpitalem w województwie, a w opinii wielu – w całej Polsce. Słynie z kompetencji personelu medycznego, jakości wykonywanych badań oraz skuteczności przeprowadzanych zabiegów. O tragicznych kartach historii przypomina jedynie kamienna tablica przy wejściu. A także fakt, że w szpitalu straszyło.

Doktor Robert Szymański znał przeszłość szpitala. Pracował tu od prawie dwudziestu lat. Słyszał opowieści personelu i pacjentów o dziwnych wydarzeniach, tajemniczych dźwiękach i ulotnych postaciach widy-

wanych podczas nocnych dyżurów. Wszystkie uważał za wyssane z palca. Spędzał w szpitalu co najmniej dwie noce w tygodniu, ale nigdy nie był świadkiem żadnych paranormalnych zdarzeń. Dlatego nie lubił, gdy ktoś opowiadał bajki o szpitalnych duchach, i potrafił dosadnie zareagować, gdy je słyszał.

Robert Szymański nie lubił wielu rzeczy. Zwłaszcza sobót. Oznaczały pobudkę o 6.30, pośpieszne golenie, śniadanie w samochodzie i narastającą irytację, pojawiającą się już na parkingu „Błęńskiej”, jak potocznie nazywano szpital. Irytacja przeradzała się w złość, kiedy mijał budkę ochrony przy wejściu do szpitala, a w prawdziwą furję – gdy na jego drodze stawały znajome twarze współpracowników. Od dłuższego czasu regularnie dyżurował w soboty i szczerze tego nie znosił. W ogóle konieczność przebywania na terenie szpitala była dla niego najgorszą formą tortury. Jednak dzięki sobotom miał wolne poniedziałki. To właśnie one były jego siłą napędową, źródłem energii do działania przez cały tydzień. Były tylko jego i tylko dla niego. W poniedziałki oddawał się ulubionym czynnościom i nic nie mogło tego zmienić.

Dziś musiał przeżyć kolejną frustrującą sobotę w Błęńskiej. Zawsze zaczynał od porannego obchodu na oddziale zakaźnym, po którym przeglądał zlecenia dla chorych. Co prawda istniała zasada, że w piątki

wszystkim pacjentom w stanie stabilnym ustalano zlecenia aż do poniedziałku, ale doktor Szymański miał swoje zdanie na temat rodzaju nawodnienia czy kombinacji poszczególnych leków, więc często zdarzało się, że zmieniał zlecenia lekarzy prowadzących, uznając, że wie lepiej od nich.

Tak, doktor Szymański ubolewał nad tym, że przyszło mu pracować wyłącznie z durniami. Był nim zwłaszcza ordynator oddziału zakaźnego, Tomasz Czechowski. Szymański męczył się z nim już pięć lat. Przybysz znikąd – pojawił się tuż przed zamknięciem konkursu na ordynatora i odebrał Szymańskiemu wymarzone stanowisko. Ordynatura miała być ukoronowaniem jego kariery lekarskiej. Kariery, która co prawda bywała wyczerpująca, ale miała też liczne zalety. Niestety wszystko poszło nie po jego myśli i Szymański musiał zadowolić się stanowiskiem zastępcy ordynatora – najgorszym, co mogło mu się przytrafić. Wiązało się to praktycznie z samymi obowiązkami i jedynie kilkoma przywilejami.

Na dodatek ordynator okazał się cwany idiotą. Że idiotą – tym akurat Szymańskiego nie zaskoczył. Wiedza medyczna Czechowskiego kończyła się na poziomie szpitala powiatowego – dokładnie tego Szymański spodziewał się po protegowanym dyrektorki, której polityka kadrowa od lat opierała się na zasadzie „mierny, ale wier-

ny”. Regułę tę można by wygrawerować na mosiężnej tabliczce na drzwiach jej gabinetu. Ale przebiegłość nowego ordynatora była dużą niespodzianką. W mistrzowski sposób wykręcał się od podejmowania trudnych decyzji, a zwłaszcza od podpisywania się pod nimi. Unikał również konfrontacji z własnymi pracownikami, co skutkowało tym, że obiecywał wszystkim wszystko, a później nawarzone piwo kazał pić Szymańskiemu.

Nie żeby Szymański nie lubił roli złego szefa. Ba, nie musiał jej nawet odgrywać. Krzyżowanie planów i grzebanie nadziei podwładnych sprawiało mu przyjemność. Ale fakt, że musiał to robić w ramach przysługi dla Czechowskiego, którym gardził, był dla niego torturą.

Niewdzięczny drań nawet nie widział – albo udawał, że nie widzi – ile pracy kosztowało Szymańskiego trzymanie oddziału w ryzach i nadzór nad tą żalosną bandą niedouczonego lekarzy. Tylko on był w stanie utrzymać tę wielką maszynę w ruchu i nie dopuścić, by jakiś jej element zaczął szwankować. Ordynator zajęty był pilnowaniem własnych interesów, zwłaszcza po tym, jak dzięki swoim koneksjom został konsultantem wojewódzkim. Trzecia żona i piąte dziecko w drodze skłaniały go bardziej do myślenia o tym, co jeszcze może ugrać dla siebie, niż o pracy oddziału. Cały szpital opowiadał po cichu o „drobnych” prezentach, jakie Czechowski otrzymywał od firm farmaceutycznych za

ustawianie wyników badań klinicznych. Na dodatek badań, do których – poza przybiciem swej ordynatorskiej pieczętki – nie przyłożył nawet małego paznokcia. Wszystko robił Robert Szymański, narażając swoją reputację, być może nawet przyszłą profesurę, a w zamian dostawał jakieś ochłapy z pańskiego stołu. Na szczęście wkrótce miało się to zmienić. Szymański miał plan, jak pozbyć się tego i kilku innych problemów ze swego życia raz na zawsze.

Tymczasem trzecią noc w tym miesiącu spędzał w Błęńskiej. I nie ostatnią – kolejna rezydentka w ciąży oznaczała kolejne nieplanowane dyżury, z których część spadła również na niego. Uwłączało mu, że jako zastępca ordynatora nadal musiał harować jak pierwszy lepszy lekarz z oddziału, zamiast spać we własnym łóżku.

Oczywiście, jak tylko dowiedział się o dodatkowych dyżurach, natychmiast wpisał je wszystkie do grafiku Marty Wolskiej. Jednak ta mała żmija zrobiła z tego powodu taką awanturę, że dwa z nich musiał ostatecznie zostawić sobie.

Marta Wolska... Gdy tylko załatwi sprawę z ordynatorem, zrobi z nią porządek. Za często wchodziła mu w drogę i drażniła go swą bezczelnością. Niebieskimi oczami i szerokim uśmiechem tak owinęła sobie wszystkich wokół palca, że tańczyli w takt każdej melodii, którą im zagrała. „Nasza Martusia obroniła doktorat

w wielkim stylu”, „nasza Martusia udzieliła świetnego wywiadu na temat boreliozy”, „nasza Martusia miała rewelacyjne wystąpienie na konferencji hepatologicznej”. Nie mógł już tego słuchać. Doskonale wiedział, że Marta była złośliwą manipulantką i sprawnie wykorzystywała ludzi do własnych celów. A ci jej na to pozwalali, jak stado baranów. Tak, na nią również przyjdzie czas. Już niedługo.

Tymczasem przejrzał karty zleceń i z wielką satysfakcją wprowadził poprawki. Również pacjentom Marty, bo wiedział, że każda taka zmiana bardzo ją irytuje. Oddał karty do dyżurki pielęgniarek, pouczając je przy okazji, jak prawidłowo zakładać sterylne rękawiczki. Naprawdę, za jakie grzechy musi pracować z tymi wszystkimi idiotami?

Na szczęście nikt z pacjentów nie potrzebował interwencji lekarza, więc na jakiś czas mógł zamknąć się w swoim gabinecie. Wyjął prywatnego laptopa i podłączył się do ogólnodostępnego wi-fi. Sieć była przeznaczona dla pacjentów całego szpitala, dlatego przeciążona i wolna, ale wolał nie ryzykować logowania do sieci dla personelu. Za głupie błędy zawsze płaci się najwyższą cenę, o czym wielokrotnie się przekonał. Na szczęście na cudzej skórze. Wpisał z pamięci adres strony i wcisnął Enter. Logowanie, jak zwykle, trwało wieki, ale wiedział, że ostrożność jest konieczna. Ogarnęła go

błogość, jak zawsze, kiedy mógł przeglądać nowe materiały. Na wszelki wypadek nie zapisywał ich na dysku komputera, ale uważnie studiował przez kilka minut te najbardziej interesujące. W takich chwilach problemy znikwały, a czas przestawał płynąć.

Szymański nie widział i nie słyszał niczego poza treścią, którą chłonał z laptopa... Klik... Klik... Klik...

* * *

W najciemniejszym kącie pomieszczenia coś delikatnie zaszeleściło, jak przewracana strona książki. Po chwili dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejszy. W normalnych warunkach doktor Szymański zainteresowałby się jego pochodzeniem. W końcu poza nim samym nikogo w zamkniętym na klucz gabinecie nie było – a przynajmniej być nie powinno.

Ale Robert Szymański nawet nie drgnął.

Nie mógł, ponieważ od dwóch godzin już nie żył.

ROZDZIAŁ 2

Marta Wolska pragnęła odpoczynku. Ostatnio dyżurowała częściej niż zwykle, a i wcześniej brała dyżurów znacznie więcej, niż powinna. Miała nadzieję, że wyśpi się tej nocy, ale nic z tego nie wyszło. Znow przyśnił się jej ten sen.

Była małą dziewczynką schowaną w wiklinowym koszu w rogu ciemnego pokoju. Zagrzebana w pluszowych zabawkach ścisłała w rękach jedną z nich. Była przerażona. Z sąsiedniego pokoju, pokoju rodziców, dobiegały krzyki. Marta chciała pobiec do nich, sprawdzić, dlaczego krzyczą, ale strach kazał jej nie opuszczać kryjówki.

Słyszała krzyki nie tylko matki i ojca. W pokoju były jeszcze inne osoby i to Martę najbardziej niepokoiło. Te osoby nie wydawały się miłe – wykrzykiwały paskudne słowa i zadawały pytania, na które ojciec niezmiennie odpowiadał: „nie wiem” albo „naprawdę nie wiem”. Słyszała płacz matki i bała się jeszcze bardziej.

Zobaczyła, jak matka wczołguje się do jej pokoju. Marta ledwie ją poznała – matka miała opuchniętą i zakrwawioną twarz, krew plamiła jej ubranie i pozosta-

wiała szkarłatne smugi na podłodze. Za matką do pokoju wszedł mężczyzna, którego Marta nigdy wcześniej nie widziała. Przez chwilę obserwował kobietę, która spojrzała w stronę pustych łóżek dzieci.

– Jeśli chcesz je jeszcze zobaczyć, nakłoń męża do współpracy – powiedział.

Głos miał zaskakująco miły, wygląd sympatycznego sąsiada, który – jeśli się go o to poprosi – kupuje bułki i pożycza cukier. Ale mili sąsiedzi nie robią rzeczy, które nastąpiły później. Mężczyzna zaczął kopać matkę w brzuch, i to tak długo, aż przestała się ruszać.

Marta chciała krzyczeć, biec do matki i ją ratować, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Nie była w stanie nawet płakać. Ale musiała patrzeć.

Do pokoju wszedł drugi mężczyzna i chwilę rozmawiał z tym o miłym głosie. Marta nie słyszała, o czym. Po jego wyjściu ten pierwszy pochylił się nad matką i zadał pytanie, na które nie uzyskał odpowiedzi. Na jego twarzy pojawił się gniew.

Serce Marty biło coraz szybciej. W ręku mężczyzny pojawił się nóż. Marta widziała wszystko bardzo wyraźnie w świetle lampy-stokrotki, którą Kamila, jej siostra, dostała w prezencie od ojca i której Marta tak bardzo zazdrościła. Światło lampy odbiło się w ostrzu noża, na moment oślepiając Martę. Ale tylko na ułamek sekundy – po chwili bardzo wyraźnie dostrzegła tatuaż na ręce trzymającej nóż.

A potem patrzyła, jak nóż zatapia się w gardle jej matki.

Marta obudziła się złana potem. Ta makabryczna scena, powracająca od czasu do czasu, zawsze wróżyła kłopoty. Wolska spojrzała na zegarek. Była siódma trzydzieści trzy. Poszła spać o pierwszej w nocy, więc w sumie nieźle – ponad sześć godzin snu. Szkoda tylko, że przerywanego koszmarami.

Włączyła radio. Właśnie nadawano wiadomości.

„Znaleziono kolejną ofiarę Bestii z Mokotowa. Tym razem to dwudziestojednoletnia studentka Politechniki Warszawskiej, której ciało dziś rano zauważył przypadkowy przechodzień. Zwłoki leżały zanurzone w stawie na Polu Mokotowskim. Według wstępnych ustaleń przyczyną śmierci były liczne rany kłute i inne obrażenia zadane tępym narzędziem. Podobnie jak w pozostałych przypadkach, ofiara była przed śmiercią torturowana. Rzecznik stołecznej policji ostrzega kobiety, by unikały samotnych spacerów po zmroku. Ponadto policja informuje, że...”

Marta wyłączyła radio.

Seryjny morderca był głównym tematem wszystkich wiadomości w kraju, nie tylko lokalnych. Działał brutalnie, a jego celem były młode i atrakcyjne kobiety. Media w Polsce żyły tylko tą sprawą, więc ludzie nie przestawali o niej mówić. „Bestia z Mokotowa” – tak

dziennikarze nazwali mordercę, bo jego ofiary znajdowano tylko w tej jednej dzielnicy. Marta słyszała o nim wszędzie – w tramwaju, w pracy, w sklepie, na przejściu dla pieszych... W sumie nic dziwnego, że śniły się jej koszmary. Pewnie miało je teraz wielu Warszawiaków.

Wróciła myślami do swojego snu. Ten mężczyzna z nożem. Miała wrażenie, że już go gdzieś widziała. W sensie – widziała go naprawdę. Tyle że nie mogła przypomnieć sobie, gdzie.

Przeciągnęła się i otworzyła szafę. Jak zwykle nie miała się w co ubrać. Ostatnie zakupy ciuchowe robiła ponad pół roku temu. Albo była w pracy, albo była zbyt zmęczona, albo kończyła sprawy z byłym mężem. Zawartość szafy najlepiej podsumowywał napis na T-shircie, w którym spała: „Dziadostwo”. Westchnęła, ale nie zdążyła przekląć, bo usłyszała dźwięk swojej komórki. Spojrzała na wyświetlacz – dzwonił Leszek Skalski.

Zdziwiło ją to i zarazem zaniepokoiło. Leszek był kolegą z pracy. Nie przyjaźnili się prywatnie i jego telefon, zwłaszcza w niedzielę i zwłaszcza o tak wczesnej porze, mógł mieć związek jedynie z Błęską. Na dodatek Leszek nigdy nie zadzwoniłby z byle głupstwem, więc w szpitalu musiało wydarzyć się coś ważnego.

– Hej, Leszek, co tam?

– Szymański nie żyje. Pielęgniarki znalazły jego ciało w dyżurce. Wzywały go do pacjenta, ale nie mogły się dodzwonić ani otworzyć drzwi. Musiały wezwać ochroniarza, żeby je wyważył. Szymański leżał w środku z poderżniętym gardłem.

– Co? – Marcie zrobiło się niedobrze.

– To, co słyszałaś. Ktoś wykończył Szymańskiego.

– Poczekaj. Co?!

– Dobra, spróbuję jeszcze raz. Szymański leży w dyżurce z poderżniętym gardłem. Jest nieżywy. Dead. Kaputt. Miortwyj.

– Ale dlaczego? Kto chciałby coś takiego zrobić?

– Mówisz poważnie? Wszyscy. Łącznie ze mną. Nie nawidziłem typa. Pielęgniarki, które były z nim na dyżurce. Połowa pacjentów – tylko połowa, bo pozostali go nie znali. Ochroniarze. Stary. Ty...

– Mam nadzieję, że twoja rozmowa z policją będzie przebiegać inaczej.

– Myślisz, że będą mnie przesłuchiwać?

– Żartujesz? Będą przesłuchiwać nas wszystkich.

– A, niech przesłuchują. Mam żelazne alibi. Szymański to wiadomość dnia, ale ja tak naprawdę dzwonię do ciebie z inną sprawą. Pożyczysz mi nowego Harrisona? Piszę pracę o leczeniu zakażeń skóry po pogryzieniach przez różne gatunki zwierząt. W Harrisonie jest o tym świetny rozdział. Normalnie brałem go z oddziału, ale –

jak wiesz – wszystkie książki są w dyżurce, a teraz policja ją zamknęła i nikt nie ma tam wstępu. Poza tym chcę cię ostrzec – Szymańskiemu zostały w tym miesiącu jeszcze trzy dyżury. Stary będzie chciał je jakoś rozdzielić. Na pewno zgłosi się do ciebie. Lepiej wyłącz telefon.

– Poważnie? Ktoś zamordował Szymańskiego. W pracy. W naszym szpitalu, na naszym oddziale. A twoje główne problemy to brak dostępu do oddziałowej biblioteczki i rozdział dyżurów?

– Już ci mówiłem. Nie byliśmy przyjaciółmi i nie będę za nim tęsknił. Właściwie ten, kto to zrobił, powinien dostać nagrodę.

– Proszę cię...

– W porządku, niech ci będzie. Zmarły był wspaniałym człowiekiem i miał samych przyjaciół. To jak, pożyczysz mi Harrisona?

Marta próbowała dowiedzieć się czegoś więcej na temat śmierci Szymańskiego, ale Leszek nie znał szczegółów. Obiecała przynieść mu książkę w poniedziałek i pożegnali się tak, jakby nic się nie stało. Bo tak naprawdę ta wiadomość, choć szokująca, jej również nie zmartwiła. Szymański rzucał kłody pod nogi każdemu, tylko dla sportu i z czystej złośliwości. A Marty nie znosił obsesyjnie, więc kłód było więcej.

Wielokrotnie wyobrażała sobie Szymańskiego, jak traci życie w dramatycznych okolicznościach – pod ko-

łami tira, przebity spadającym żyrandolem, porażony przerwana linią wysokiego napięcia. Zawsze umierał długo i w męczarniach. Teraz trochę tego żałowała. Ale tylko trochę. Czuła się raczej oszołomiona. Dzień dopiero się zaczął, a już tyle się wydarzyło: sen o rodzicach, wiadomość o kolejnej ofierze Bestii z Mokotowa, martwy Szymański. Tymczasem za oknem trwał piękny majowy poranek, zupełnie niepasujący do tego wszystkiego. Promienie słońca wpadały do sypialni i przesuwwały się po liściach roślin na parapecie. Poczuli, że musi zadzwonić do Kamili. Siostra była jej przyjaciółką i zawsze wiedziała, co powiedzieć, żeby pomóc jej uporządkować myśli.

– Marta, jest niedziela bladym świtem. Mam nadzieję, że wydarzyło się coś naprawdę ważnego.

– Zabili Szymańskiego.

– Kogo? Kto? Gdzie?

– Szymańskiego. Zastępcę Starego. W szpitalu. Dziś w nocy. Był na dyżurze. Miał podcięte gardło.

– Ach, jego! Mój Boże! Mam nadzieję, że ty tego nie zrobiłaś.

– Mówisz poważnie?

– No tak. Jeśli to byłaś ty, wolę o tym nie wiedzieć. Sama rozumiesz.

– Dobra, już przestań. Dopiero się o tym dowiedziałam i muszę z kimś o tym porozmawiać.

– To czemu nie zadzwonisz do kogoś z pracy? Przecież ja go nawet nie znałam.

– Właśnie dlatego. Wszyscy z pracy na pewno się cieszą. Kupują truskawki i otwierają szampana.

– No i? Sama go szczerze nie znosiłaś. Pamiętam, jak kiedyś we Wrocławiu, po tym maratonie z grzańcami, kupiłaś laleczkę voodoo i...

– Nie przypominaj mi tego, bo będę miała wyrzuty sumienia.

– Co mam ci powiedzieć? Miałam w pracy trzech takich Szymańskich i naprawdę nie pogniewałabym się, gdyby podzielili los twojego. Serio nie rozumiem, czemu tak się tym przejmujesz. Sama mówiłaś, że facet był wcieleniem zła, normalnie Damien – inkarnacja. I prowadził jakieś szemrane interesy. Zabili go, to zabili. Idź spać. Jest niedziela, nie musisz iść do pracy. Takich dni jest ostatnio niewiele, więc skup się na plusach. Chyba że stało się coś jeszcze?

– Znowu śnili mi się rodzice. I śmierć mamy. Wszystko jak zawsze. Ja schowana w koszu, krzyki, nóż... Potem budzę się i dowiaduję, że zginął Szymański. W taki sam sposób. Nie uważasz, że to dziwne?

– Jezu, Marta, myślałam, że mamy już tę sprawę za sobą. Kiedy ostatni raz miałaś ten sen? Dziesięć lat temu?

Niecały rok temu. Tuż przed tym, zanim dowiedziałam się o romansie Mikołaja, pomyślała Marta.

– Tak, dziesięć lat temu – skłamała.

– Nie, nie uważam, że to dziwne. W sumie to nawet się tego spodziewałam. Od początku ci mówiłam, że przeprowadzka do mieszkania babci to zły pomysł. Na dodatek niczego w nim nie zmieniłaś, jest jak małe muzeum. Wszystko wygląda prawie tak samo jak wtedy. Przecież każdy przedmiot musi ci przypominać o przeszłości. Zdjęcia, nasze zabawki... A obie tak ciężko pracowałyśmy, żeby zapomnieć. Nawet dla mnie to był wielki dramat, chociaż nie było mnie wtedy w domu. A ty? Ty wszystko widziałas.

– Nie wszystko. Nie pamiętam, jak wyglądali mordercy. Gdybym mogła ich rozpoznać, być może złapano by ich i ukarano. Nie pomogłam rodzicom wtedy, nie pomogłam i potem.

– Miałaś pięć lat! Prawie przez rok po tym wszystkim nie odezwałaś się do nikogo ani słowem. Babcia myślała, że już nigdy nie będziesz mówić.

– Wiesz, że tej nocy przyśniła mi się twarz jednego z nich? Widziałam go wyraźnie.

– Daj spokój. Po tylu latach? To tylko sen. W snach mieszają się wspomnienia, lęki i przypadkowe obrazy. Twój mózg tworzy rzeczy, które nie miały miejsca. A wszystko przez ten cholerny rozwód i przeprowadzkę do tego mieszkania. Wyprowadź się stamtąd. Pomogę znaleźć ci inne. – W słuchawce coś zaszeleściło. Marta

usłyszała w tle niewyraźny dziecięcy głos. – Marta, muszę kończyć. Weronika się obudziła.

– Ucałuj ode mnie moją ulubioną siostrzenicę. Spotkamy się dziś na jakimś obiedzie?

– Hm... – Kamila zawahała się na moment. – Nie mogę. Obiecałam twojej ulubionej siostrzenicy... twojej jedynej siostrzenicy... że pojedziemy dziś do parku trampolin. Ale może zabrałabyś się z nami?

– Trampoliny? Brzmi jak coś, na co kompletnie nie mam ochoty, nawet z wami. Daj znać, gdy wrócicie. Może pójdziemy na jakieś lody albo spacer.

– Jasne. A ty zapomnij o Szymańskim i o koszmarach. Zapomnij też wreszcie o Mikołaju.

– A co on ma do tego?

– Mam niejasne przeczucie, że ma. Pa, Marta!

Marta odłożyła telefon. Siostra jak zwykle miała rację. Były mąż odgrywał zbyt dużą rolę w jej życiu. Choć z innych powodów, niż sądziła Kamila.

Marta poznała Mikołaja w pracy. Był ortopedą i pracował w Błęńskiej. Na początku widywała go tylko przelotnie – oboje odbywali wówczas rezydenturę i byli skupieni głównie na pracy, a ich oddziały znajdowały się w różnych budynkach. Oczywiście bardzo jej się podobał, ale Mikołaj wpadał w oko wszystkim kobietom. Wysoki, dobrze zbudowany brunet. Niebieskie oczy. Piękny uśmiech.

Poznali się bliżej dopiero po kilku latach, na badaniach okresowych w poradni medycyny pracy, kiedy czekali w kolejce na wizytę. Później żartowali, że zawsze będą bronić medycyny pracy, gdy tylko ktoś stwierdzi, że do niczego nie jest potrzebna. Spędzali ze sobą coraz więcej czasu i takich prywatnych anegdot przybywało. Marta śmiała się, że Mikołaj jest zbyt inteligentny jak na ortopedę i pewnie pomylił się z wyborem specjalizacji. On odpowiadał, że na szczęście Marta jest ładna, więc nie musi być inteligentna. Łączyły ich książki, filmy, znajomi i praca. Ich związek wydawał się idealny, a Marta nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Wzięli ślub po roku, wspólnie kupili mieszkanie na Żoliborzu i Marta uwierzyła, że Mikołaj jest prezentem od losu – zapłatą za zmarnowane dzieciństwo.

Aż nadszedł dzień, w którym przeczytała wiadomość zmieniającą całe jej życie. Właściwie był to e-mail. Na dodatek znalazła go w służbowej, szpitalnej skrzynce, wśród zaproszeń na konferencje i informacji o nowych lekach.

E-mail był zatytułowany „Mikołaj mnie kocha”, a jego treść zawierała opis tej miłości – pełen banałów i błędów ortograficznych. Było tam wiele o ich romantycznym spotkaniu podczas maratonu na rzecz biednych dzieci, w którym ona brała udział, a który on „zabespierał jako lekarz”. Ona zwichnęła kostkę, on tę kostkę

nastawiał. Ona z wdzięczności zaprosiła go na obiad, on został na śniadanie. Było to kilka miesięcy wcześniej i przez ten czas ich „miłość roskwitła”, a na drodze do szczęścia stała tylko Marta – niekochana żona, której on z litości nie chce zostawić. Dlatego ona bierze sprawy w swoje ręce i informuje Martę, że Mikołaj już nic do niej nie czuje, że to koniec i żeby dała mu spokój.

Wiadomość była podpisana: Dagmara Góralska.

Mikołaj przyznał się do romansu dopiero, gdy Marta pokazała mu wydruk wiadomości. Dagmara Góralska okazała się assistant managerem (Marta nawet nie wiedziała, co to właściwie znaczy) z fatalnie zrobionymi ustami i świetnie powiększonym biustem, który pchał się na pierwszy plan każdego jej zdjęcia w internecie.

Mikołaj płakał i przeproszał. Twierdził, że Dagmara to błąd, że kocha tylko Martę i zrobi wszystko, by mu przebaczyła. Marta była nawet skłonna to zrobić i pewnie ich wspólne życie jakoś by się ułożyło na nowo, gdyby nie wiadomość, że Dagmara jest w ciąży.

Mikołaj żałował romansu i próbował przekonać Martę, że dziecko w żaden sposób nie wpłynie na ich małżeństwo, a poza alimentami nic nie będzie go z Dagmarą i jej dzieckiem łączyć. Dla Marty było to jednak zbyt wiele. Oboje z Mikołajem kiedyś postanowili, że na razie nie będą mieć dzieci, że skupią się na sobie i pracy. Mikołaj wręcz obsesyjnie pilnował, żeby tak

właśnie było. Skąd więc nagle taka nieostrożność w relacji z Dagmarą? Marta interpretowała to po swojemu, co w połączeniu ze złamanym sercem całkowicie odmieniło jej uczucia do Mikołaja.

Mówi się, że między miłością a nienawiścią istnieje cienka granica. Marta przekroczyła ją w jednej chwili.

Wyprowadziła się z Żoliborza i zamieszkała w mieszkaniu po babci. Przez pierwsze tygodnie w ogóle nie odzywała się do Mikołaja, co zresztą ten ułatwił, zmieniając pracę. Później ich kontakty ograniczyły się wyłącznie do sprawy rozwodu.

Otrzymali go szybko, bo nie mieli dzieci. Jedynym problemem był podział majątku, ale z tym poradził sobie Konrad Widaj, warszawski adwokat i najlepszy przyjaciel Mikołaja. Wykorzystując swoją bliską relację także z Martą – w końcu, jako przyjaciel domu, często u nich bywał – przekonał ją do rozwiązań, które miały być dobre dla obojga. Okazały się jednak świetne tylko dla Mikołaja, a kiepskie dla Marty. Kamila ostrzegała ją przed ryzykiem, ale Marcie było wtedy wszystko jedno. Chciała mieć rozwód jak najszybciej za sobą. Teraz oczywiście żałowała tamtych decyzji, ale było już za późno.

Na szczęście nie było za późno na zemstę. A ta – jak wiadomo – najlepiej smakuje na zimno. Wolska miała plan, który systematycznie wcielała w życie i dopracowywała w szczegółach. Czekwała tylko na odpowiedni

moment, by pociągnąć za ostatnie sznurki. Ten moment zbliżał się wielkimi krokami.

Marta podniosła się z fotela i wyjrzała przez okno. Ten piękny majowy dzień aż prosił się o spacer, zwłaszcza po takim poranku. Pomyślała o Parku Ujazdowskim – był najbliżej. A potem może Łazienki Królewskie. W maju zaczynały się tam Koncerty Chopinowskie, których była fanką. Sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić program. Rozczarowała się – pierwszy koncert miał się odbyć dopiero za tydzień.

Nagle przypomniała sobie, gdzie widziała mężczyznę ze swojego snu. W szpitalnym bufecie. W piątek podniósł z podłogi monetę, którą upuściła. Zapamiętała go, bo na jego widok poczuła irracjonalny niepokój. Przez chwilę wydawało jej się nawet, że skądś go zna. Ostatecznie uznała jednak, że to tylko przelotne wrażenie. Był zupełnie obcym człowiekiem. A jednak to on pojawił się w nocnym koszmarze jako mężczyzna zabijający jej matkę.

Dziwna rzecz ze snami. Nasz mózg potrafi nocą poskładać z przypadkowych wspomnień historię, która rano wydaje się niemal prawdziwa. Kamila chyba miała rację – to pewnie przez mieszkanie na Mokotowskiej.

Wypiła kawę i jak zwykle zrobiła szybki przegląd swoich roślin. Było ich już zdecydowanie za dużo, ale nie

powstrzymywało jej to przed kupowaniem kolejnych. Obok gotowania była to jej największa pasja. Mieszkanie było na szczęście spore, więc zawsze znajdowało się miejsce na następny okaz, choć Kamila twierdziła, że wkrótce zabraknie parapetów i Marta zacznie sadzić kwiaty w wannie.

Zatrzymała się przy najnowszym nabytku – alokazji Sandera. Roślina była kapryśna i Marta wiedziała o tym aż za dobrze. Poprzedni egzemplarz przetrwał niecały miesiąc. Ten też nie wyglądał najlepiej – na brzegach liści pojawiały się już pierwsze brązowe plamy.

– Co robisz nie tak? – mruknęła. – Masz słońce, wodę i spokój. Czego jeszcze chcesz?

Lekko pstryknęła liść palcem. Postanowiła, że jeśli ta alokazja też padnie, trzeciej już nie kupi. Obok stał stefanotis – kolejna roślina, która najwyraźniej nie znosiła klimatu jej mieszkania. Był już prawie łysy, choć Marta wciąż liczyła, że wypuści nowe liście.

Od porannego krzątania zrobiła się głodna. Nie jadła jeszcze śniadania, ale nie miała ochoty nic gotować. Przypomniała sobie o zapiekankach przy Placu Zbawiciela. Lubiła je, a poza tym nie trzeba było na nie długo czekać.

Plac Zbawiciela, mimo wczesnej pory, był już pełen ludzi. Marta zamówiła dużą klasyczną zapiekankę z pieczarkami i usiadła przy niewielkim stoliku.

Ogródki restauracyjne działały od miesiąca i przyciągały tłumy. Spojrzała w stronę *Charliego* i *Trzeciego Planu* – dwóch lokali, których stoliki były oblegane o każdej porze. Dla Marty był to zagadkowy fenomen. Jej zdaniem jedzenie było tam przeciętne, a obsługa fatalna. Przypomniwały jej się słowa Kamili.

– Patrz na tych wszystkich ludzi przy stolikach. Każdy wygląda, jakby właśnie negocjował pokój na Bliskim Wschodzie – zakpiła kiedyś, gdy przechodziły przez plac. – A w rzeczywistości pracują po dziesięć godzin dziennie na infoliniach. Teraz będą jeść kisiel przez tydzień, bo wydali ostatnie pieniądze na kieliszek chablis. Kisielowa młodzież.

Marta odebrała zapiekankę i rozejrzała się wokół. Kisielowa młodzież w różnym wieku siedziała przy stolikach, sącząc wino z przesadną nonszalancją – powoli, żeby starczyło na dłużej. Ich dopracowane stroje i pewne siebie miny nie robiły na niej wrażenia. Wiedziała z doświadczenia, że większość z nich prędej czy później ląduje u psychiatry po receptę na SSRI. Warszawa może i była miastem wygodnym, ale za to niełatwym do życia.

Wtedy zauważyła mężczyznę.

Okrażał plac już drugi raz. Gdy przechodził obok jej stolika, zatrzymywał na niej wzrok o ułamek sekundy za długo. Trudno było tego nie zauważyć.

Wysoki, dobrze zbudowany brunet. Zielone oczy. Nie uśmiechał się, ale Marta była pewna, że jego uśmiech musiał robić wrażenie. Tak, był w typie Mikołaja. Tak, był to jej ulubiony typ, mimo wszystko. I tak, miała świadomość, że powinna takich typów unikać.

Skupiła się na zapiekance, udając, że go nie widzi. Niestety, za późno. Mężczyzna przechwycił jej spojrzenie i zatrzymał się przy stoliku.

– Smacznego. Nie chcę przeszkadzać, ale mam wrażenie, że gdzieś już się poznaliśmy.

Tak, często tu przychodzę. Nie, nie bolało, kiedy spadałam z nieba. Tak, wiem, że mam piękne oczy. Marta tylko czekała, aż usłyszy któryś z tych tekstów. Nie pierwszy raz ktoś próbował ją poderwać.

– Już mi przeszkodziłeś – powiedziała, wycierając keczup z czubka nosa.

Brunet uśmiechnął się. Oczywiście miał piękny uśmiech.

– Przepraszam. Ale naprawdę wydaje mi się, że skądś cię znam. A jeśli się znamy, to głupio byłoby przejść obok tak bez słowa. Bez żadnego cześć.

– Nie znamy się. Więc spokojnie możesz iść dalej.

– Teraz tym bardziej byłoby głupio.

– Słuchaj, rodzice nie pozwalają mi rozmawiać z nieznajomymi.

– Jestem Michał. Już nie jestem nieznajomy.

Marta westchnęła. Facet najwyraźniej nie zamierzał odpuścić.

– Niech ci będzie. Jestem Ani. Ani Sakis.

– Oryginalne nazwisko.

– Mój ojciec jest Finem. Dorastałam w Helsinkach. Ale Warszawa zawsze była dla mnie domem.

– Naprawdę? Byłam kilka razy w Helsinkach. Uwielbiam Linnanmäki. Pewnie jako dziecko często tam chodziłaś?

Marta nie miała pojęcia, co to Linnanmäki.

– Nieszczególnie. Byliśmy rodziną trochę inną niż wszystkie. – Wgryzła się w zapiekankę. Trafił się jakiś globtroter. Trzeba było się go szybko pozbyć, choć wydawał się uroczy.

– Nie masz akcentu.

– Że co?

– Mówisz po polsku bez akcentu.

– Moja matka jest Polką. W domu rozmawialiśmy głównie po polsku. Ja i moich dziewięciu braci.

– O, to masz dużą rodzinę.

– Żebyś wiedział. Słuchaj, miło było, ale muszę już lecieć.

– Już? A dokąd lecisz? Mógłbym ci potowarzyszyć. Pogadaliśmy o Tove Jansson i Janne Ahonienie. – W jego oczach Marta dostrzegła jakiś błysk. A może tylko jej się wydawało.

Za to z całą pewnością zauważyła powłóczyste spojrzenia żeńskiej części kisielowej młodzieży, rzucane w stronę Michała zza sąsiednich stolików. Zresztą kilka męskich też.

Musiała przyznać, że miał w sobie coś magnetycznego. Mógłby grać w filmach. Na przykład twardego policjanta-lowelasa. Albo prawnika walczącego z przestępczą korporacją, za którym uganiają się kobiety. W każdej z tych ról otaczałby go wianuszek kobiet. I pewnie w prawdziwym życiu tak było. Dlatego lepiej było trzymać się od niego z daleka.

– Umówiłam się z narzeczonym. Nie byłby zachwycony, gdyby cię zobaczył.

– Masz narzeczonego? Szkoda. Ale może chociaż dasz mi numer telefonu? Umówilibyśmy się kiedyś na kawę. To jeszcze nie zdrada. – Przystojniak nie spuszczał z Marty oczu.

Tak, zdecydowanie mógłby grać amanta, pomyślała.

– Nie wiem. Zobaczymy. Wiesz, jak się nazywam, wygoogluj mnie. Prowadzę małą galerię niedaleko stąd. Sama zresztą też jestem artystką. Znajdziesz moje prace w internecie. Jeśli przeznaczenie będzie chciało, to się spotkamy.

– Tak zrobię. Jestem pewien, że przeznaczenie będzie tak chciało. Do zobaczenia, Ani. Ani Sakis.

Marta skręciła w Mokotowską. Wbrew sobie odwróciła się jeszcze raz. Michał jakby na to czekał – uśmiechnął się i pomachał. Odmachała. Nie miało to większego znaczenia. I tak miała go już więcej nie zobaczyć. Choć właściwie szkoda...

Westchnęła i przyspieszyła kroku.